

KIJ W MROWISKU - DOCHODZENIE DO SIEBIE

Zacznijmy od prostego doświadczenia. Co staje nam przed oczami, gdy słyszymy słowo Polska? Zdaniem większości pytanych przeze mnie znajomych – kształt dobrze znany z mapy, kontur obwiedziony graniczną linią. Polska to kwadrat ze ściętymi rogami – lewym górnym i lewym dolnym, z ząbkim Helu na górnej krawędzi. Kontur, który widzieliśmy tysiące razy na mapach pogody, plakatach, znakach graficznych. W szkole, na ulicy, w gazetach.

Podobnie Europa (Ameryka, Australia), podobnie cały świat – to wszystko mapy, jakby geografia była w szkole najważniejszym przedmiotem. Słyszac nazwę, widzimy mapę i postrzępiony kształt kontynentu. Przedmioty, rzeczy, znaki, mapy i terytoria, na przerwie państwa i miasta... Właśnie, co widzimy przed oczami duszy, gdy słyszymy nazwę miasta? Herb? Pocztówkowy widoczek? A może logo zamówione przez wydział promocji? Niektórzy nie widzą nic – impotenci miejskiej wyobraźni, widać nigdy naprawdę nie weszli w miasto, nie poznali jego zakamarków. Ja widzę plan z siatką ulic, pokratkowany papier, w który można wpisać własną historię. Ożywić go, wpuszczając w martwe arterie trochę własnej krwi.

Miasto – jak każde miejsce – to coś więcej niż fragment przestrzeni. Miasto to przestrzeń, do której dopisano emocje, uczucia i wspomnienia. Uwieczniona na planie siatka ulic to schemat relacji z osobami, to historia rozrysowana na kartce. Wschód, południe, zachód i północ – to przecież pory dnia, nie tylko kierunki róży wiatrów. Znać miasto to przeżyć, przebyć, przejść... Dlatego największymi znawcami dzielnic są bezdomne psy, znaczące całymi miesiącami swoje rewiry. Lokalny patriotyzm wydeptanych dróg.

Chodzę, chodzę, gdzieś między spacerem a pielgrzymką. Czasami lubię myśleć o sobie jako o elemencie krwiobiegu miasta – całkiem dosłownie. Mieszkańcy muszą krążyć po najdalszych ulicach, roznosić tlen i substancje odżywcze do każdej zapomnianej ścieżki organizmu, który współtworzą. Muszą chodzić i patrzeć, widzieć i opisywać – takie stwórcze podtrzymanie miasta, symbioza ślimaka ze swoją skorupą. Nasz dom ciało, nasz dom miasto.

Dlatego nie rozumiem ludzi, którzy stawiają płoty w poprzek ulic. Wykupują teren, stawiają tabliczkę „Przejścia nie ma”, gdyby mogli – kolczaste druty podłączyliby pod prąd. Grodzone osiedla, grodzone zaułki. Prywatyzacja ulic to miazdzyca tętnic miasta. Zwapnione betonowymi płotami arterie nie przepuszczą krwi – zawał zacznie się na zamkniętym osiedlu. Miasto upadnie i złapie się za mostek. Udęczone ciało trzeba będzie reanimować. Potem odwiedzać w szpitalu dla chorych miast, przynosić kompoty i rosółki w słoikach. Gdzie się wtedy podziejemy?

Czy będziemy mogli, żyjąc w mieście, sami siebie odwiedzać na oddziale rewitalizacji? Lepiej zawczasu zburzmy szlabany i przegrody. I jeszcze usuńmy ze skóry naszego miasta tatuaże reklam, by uniknąć pełnych obrzydzenia spojrzeń pielęgniarek, odkrywających na pokrytym odleżynami ciele sflaczałe motylki i kwiatki. Zadbajmy o kondycję, przewietrzmy ulice i place, siebie przewietrzmy i swoje umysły.

Chodzić uparcie i konsekwentnie, poznawać miasto, czuć nad nim czule. W zmieniającym się krajobrazie odnajdywać dawny przebieg ulic, rejestrować ślady nieistniejących osiedli, pytać, skąd przyszliśmy i kim jesteśmy. Na którymś rogu odnaleźć tabliczkę ze znajomym nazwiskiem. Zapisać miasto imionami.

PS. O chodzeniu po mieście porozmawiam z Maciejem Robertem, autorem książki "Nautilus" - Stacja Nowa Gdynia, 8 października o 17.00.